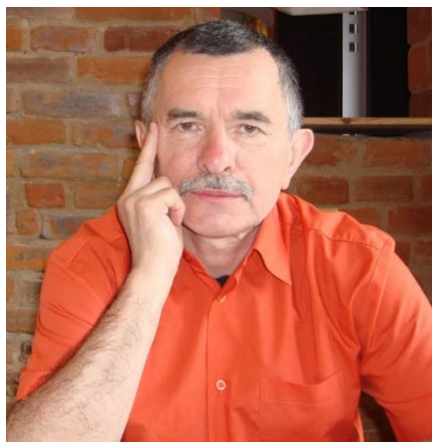


Józef Baran

Spadając, patrzeć w gwiazdy (67)

(fragmenty)



Znowu zagląbam się w dzienniku Mrożka...

Jestem już w roku 1976. Właśnie czytam zdanie, że dostał ode mnie list, bardzo ładny, i że „udał mu się ten Józek”...

– Józek – woła znowu mama. – A nie cytoż, a opowiedz mi coś. O czym ty tak cytos i cytos?!

Zastanawiam się przez chwilę: – A o tym, mam, jak człowiek się męczy na tym świecie!

– A wiesz, dlaczego się mency, bo jeden drugiego gryzie, a drugi trzeciego gryzie i tak cały świat się gryzie – mruczy mama...

Kraków. 17 lutego, Mrozek o niepokoju

Pod datą 17 lutego 1977 roku Mrozek w swoim dzienniku napisał:

„Deszcz, chwilowa zdolność zaglądania sobie w myśli (...) Lewe oko sparszywiało silniej niż zwykle.

List do Józka Barana napisany niby mądry niby szczery tymczasem pozorem już tylko takiego pisanie listów, jakie miewałem, jak wszystko, tak i owa zdolność mnie opuszcza”.

W Krakowie zaglądam do teczek z listami Sławomira i znajduję sążnisty znakomity literacko list z datą 18 lutego 1977 roku dotyczący między innymi niepokoju. Daj Boże zdrowie wszystkim pisarzom, żeby w momentach, gdy ich opuszcza wena korespondencyjna, potrafili utoczyć takie perełki słów i myśli:

„Brak niepokoju to na pewno nie jest szczęście, a podejrzewamy raczej, że to jest rodzaj nieszczęścia, przynajmniej my,

którym zawsze rodziło się cokolwiek tylko z niepokoju. Czy jednak należy sobie wobec tego sztucznie hodować niepokój, jak według dawnych recept poeta powinien sztucznie zakazić się gruźlicą i zamieszkać na poddaszu, żeby »tworzyć«?

Póki niepokój jest autentyczny, to niech sobie będzie, ale przestaje nim być z tą samą chwilą, kiedy zaczynamy się zastanawiać nad jego pożyteczną czy niepożyteczną rolą. Co do mnie, brak niepokoju mnie też niepokoi, ale słabiej niż niepokój mnie nudzi. To może Ci się wydać trudne do uwierzenia, ale przychodzi moment, kiedy poznałeś już wszystkie formy Twojego niepokoju i Twój niepokój nie może Ci już obiecać niczego nowego. A wtedy znika podnieta wynikająca z niego. Masz przed sobą katalog, w którym wszystkie formy Twój ego niepokoju są już ponumerowane, sklasyfikowane. I widzisz tylko, jak one się powtarzają, zaczynasz widzieć cykle duże i cykle małe. I wtedy ta zabawa przestaje Cię interesować (...).

Uważam, że powinno się dążyć do porządku, dyscypliny, skromności, umiaru, ładu i tym podobnych – nie dla jakichś cnót rzekomo z przyrodzenia w nich za wartych; tylko dlatego, a raczej po to, żeby sprawdzić, czy zrobiłem wszystko, żeby móc sobie powiedzieć: nie dało rady, to co zostaje po tylu próbach, to jest prawdziwe, widocznie tak jest naprawdę, takim jestem naprawdę (...). Co do mnie, nie ma jednak obawy, żeby to sprawdziło się do końca. Wystarczy, żebym pożył parę dni porządnie, żeby już się upić, dosłownie albo w przenośni, a najlepiej jedno i drugie, zniszczyć, co zaledwie zaczęło być budowane, zrujnowane. Rozbić to lustro, które zawsze jest tylko z kawałków i nigdy nie odbija niczego porządnie, ale kiedy jest rozbite, odbija jeszcze mniej i jeszcze bardziej krzywo.

Twój wiersz jest bardzo piękny, to znaczy w Twoich własnych, najnaturalniej Tobie właściwych, nie pożyczonych, słowach mówi o tym, co chyba jest sednem wszystkich kłopotów, jakie ma ludzka świadomość: o rozszczepieniu i tęsknocie do jedności. Nic innego nie stanowi nie tylko zasadniczego tematu wszelkiej psychiatrii, jak i ośrodka wszelkich poszukiwań mistycznych, czyli religii w ogóle w jej pierwotnej czystości. Nic innego nie zdaje się być na dnie wszelkich ideologicznych szaleń, jaki szaleństwa ludzkiego po prostu. Rozszczepienie i dążenie do jedności to chyba powód wszelkiej aktywności ludzkiej, to znaczy tej jej części, która nie służyła bezpośrednio i praktycznie przedłużaniu gatunku. Weź tylko pod uwagę, że gdyby Ci się spełniła obietnica-nadzieja wyrażona w tym wierszu, to koniec wtedy z Twoim niepokojem. Zawsze mnie, kiedy byłem dzieckiem, zastanawiało, co takiego właściwie nadzwyczajnie interesującego dzieje się w niebie, do którego, by się dostać, należało poświęcić tyle przyjemności, może drobnych, ale znacznie mniej wątpliwych. Siedzieć i śpiewać hosanna i tak przez całą wieczność – ładnie, ale czyja wiem, czy aż tak fascynująco...

Więc może ów stan niebiański nieudolnie tylko i metaforycznie został nam przedstawiony. Może chodzi o całkiem co innego, to zgadzam się z Tobą natychmiast, że niepokój więcej jest wart od wszystkiego, a na pewno od tego rodzaju szczęścia.

Nie tylko ja jeden zresztą zgadzam się z Tobą. Wszyscy narzekamy na niepokój i na jego ostre formy, które czasami są naprawdę trudne do zniesienia i które są prawdziwym a wielkim cierpieniem. Ale czy przypadkiem nie kochamy tych swoich cierpień ponad wszystko? Czasami wystarczy tak niewiele, aby z takich cierpień albo się wyleczyć, albo wyzwolić, ale broń Boże nie robimy tego, a nawet zrobilibyśmy wszystko, żeby nam tego rodzaju cierpień nie odebrano.

I nawet wiadomo, dlaczego tak jest. Bo nic znakomicie nie utwierdza własnego »ja« lepiej od cierpienia. Cierpię, więc jestem. To ja cierpię, to mnie boli, a nie kogoś innego, nie ma co do tego najmniejszej wątpliwości, a więc ja jestem, jestem i sto razy jeszcze jestem. Zauważ, że kiedy jest ci dobrze, kiedy jesteś szczęśliwy, to Twoje »ja« jakby się rozmazuje nieco (...).

Dlatego we wszystkich naukach mistycznych mowa o konieczności, żeby »ja« obumarło, jako o warunku wstępnym i niezbędnym zbliżenia się do prawdy. Oczywiście jest to warunek tak nie do przyjęcia przez nasze »ja«, że ono nawet o tym słyszeć nie chce. Może tylko święci to potrafili zrozumieć na tym poziomie rzeczywistości, względnie metafory, na jakim ta rzecz się rozgrywa, ale my i nasze »ja« tam nie wleżą. I nie ma nadziei, żebyśmy przestali sobie stosować ten najprostszy środek na bycie sobą, niewątpliwie i aż po uszy sobą: robić sobie na złość, żeby nam przypadkiem za dobrze nie było. Człowiek naprawdę gotów jest wyrzec się przyjemności, ale pewnych nieprzyjemności nie (...).

cdn.



Rys. Barbara Medajska